

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM I.

1

I.

Doktor Meyer Iseacson wybił się z nieledwie przeraźliwą szybkością, z jaką tylko nowocześnie żyd, którego domem jest Londyn, wybić się może. Jak pocisk godzi w ciało, tak on trafił w samo sedno powodzenia. Nikt go nie znał, nikt o nim nie słyszał, aż naraz wszyscy zaczęli mówić o nim, o cudownych kuracjach, które przeprowadził, radząc każdemu, żeby się do niego udał. Dziwnym jakimś sposobem, nazwisko jego – nazwisko niełatwe do zapamiętania dla każdego, kto je usłyszał – przedostało się do eleganckich londyńskich salonów. Kobiety, nawet zdrowe, uczyły się nagle chore, żeby zasięgnąć jego lekarskiej porady: „Gdzie mieszka?” „na Harley Street, naturalnie?” było ustawicznym pytaniem. Ale dr. Iseacson nie mieszkał na Harley Street, nie był człowiekiem, któryby się ukrył w tłumie kolegów: „Cleveland Square, St. James” było nieoczekiwaną odpowiedzią; dom jego był odosobniony i cudownie urządzony.

Skrzydłata legenda opiewała, że był bardzo bogatym i został praktykującym lekarzem jedynie z zamilowania. Jego dyagnostyczne zdolności, były tak nadzwyczajne, że musiał im dać ułście; namiętnością jego było studyowanie ludzkości, a któż ma do tego większą możność jak lekarz i ksiądz?

Pacyenci opowiadali z entuzjazmem o jego badawczych oczach, wogóle, jego osobistość czyniła wielkie wrażenie: „Niema nikogo jak on” było częstym komentarzem o drze Meyerze Iseacsonie, a zdanie to jest prawdziwym komplementem w Londynie, siedzibie małp i papug. Dyskutowano na temat jego wieku i pochodzenia. Dużo osób myślało, że ma „około czterdziestki”, wiek bardzo dogodny, dość młody, żeby móżdż roić jeszcze bezgraniczne nadzieje – dość podeszły, żeby się kontentować już otrzymaniem, w każdym razie niezwykle powodzeniem. A jego pochodzenie? Meyer przypominał Niemcy, co do Iseacsona, nazwisko to stało przed wyobraźnią tulących synów Izraela. Niektórzy mówili: „wygląda jakby przyszedł ze Wschodu” na co ktoś cynicznie odpowiadał: „tak ze Wschodniej Dzielnicy”. Rzeczywiście, postać doktora z Cleveland Square, łączyła te oba przypuszczenia. Idąc w dół Brick-Lene i na bocznych jego ulicach można spotkać ludzi tego typu; ludzi średniego wzrostu, szczupłych, z gęstym, kędzierzawym włosiem, wyrazistymi oczyma, szerokimi nozdrzami, wystającymi kośćmi policzkowymi, ludźmi, którzy stanowczo wyglądają na nie Anglików.

Dr. Meyer Iseacson był do tych ludzi podobnym. Posiadał jednak coś, co go od nich wyróżniało. Wyglądał niezmiernie żywotnie, prawie nienaturalnie żywotnie, kiedy był wśród angielskiego otoczenia, ale nie wyglądał ani namiętnie, ani chciwie. Można było wyobrazić go sobie czyniącego coś dziwnego, ale nigdy nic niiskiego. Była w jego wzroku jakaś moralna dysynkrya, rzadko widywana u mieszkańców Brick-Lane. Jego wąskie, sniade ręce, przypominały ręce wysoko urodzonych Egipcjan. Jak wielu ze swego narodu dr. Iseacson był z natury artystą. Instynktowe zamilowanie do tego co lepsze na świecie, płynęło razem z krwią w jego żyłach. Lubił piękne przedmioty i wiedział co piękne, a co nie. Drugorzędne dzieła nie przemawiały wcale do niego, pierwszorzędne zaś, znajdowały w nim entuzjastyczny oddźwięk. Nigdy nie czuł się zmęczonym patrząc na piękne obrazy, szlachetne posagi, brzozy, cenne stare porcelany, delikatne hafty i wspaniałe klejnoty; piękna architektura czyniła na nim wielkie wrażenie. Co do muzyki, kochał ją namiętnie, jak zresztą wiele żydów.

Mówię o żydach, że mają zawsze pewną cechę kobiecości, nie zniewieściałości. W drze Meyerze Iseacsonie cecha ta bezwzględnie istniała. Był intuicyjnym jak kobieta i jak kobieta był gwałtownym w swych sympatiach i antypatiach. Rozumiał kobiety instynktownie tak jak i kobiety go rozumiały; często wiedział coś, nie wiedząc

skąd o tem wie. Taka znajomość kobiet jest u mężczyzn, może na szczęście, bardzo rzadką. Kiedy wiele mężczyzn błądziło w ciemnościach, on szedł śmiało, na pewne. Nie był żonatym.

Stan kawalerski jest uważany przez niektórych za niekorzystny dla lekarza, utrzymują, że przeszkadza jego karierze. Dr. Meyer Iseacson nie był tego zdania. Pomimo, że nie był specjalistą chorób nerwowych, jego poczekalnia była zawsze pełna pacjentów; gdyby był żonatym nie mógłby ich mieć więcej, nieraz nawet myślał, że miałby ich mniej.

Nagle stał się modnym i pozostał nim w dalszym ciągu.

Nie miał nic szczególnego w sposobie bycia. Nie starał się przyciągać kobiet wystudytowaną brutalnością, ani czarować kliwą sentymentalnością. Był zawsze naturalny, inteligentny i całkowicie zainteresowany osobą, z którą przebywał. Że był człowiekiem światowym, to pewne. Często widywano go na koncertach, w operze, na obiadach, rautach, a nawet i wielkich balach.

Każdego dnia z rana odbywał konny spacer do Parku, raz w tygodniu wydawał obiad na Cleveland Square; lubiono bywać w jego domu, będąc pewnym, że nikt się nie znudzi, ani struje. Mężczyźni cenili go na równi z kobietami, pomimo, że jego rysy przypominały im mieszkańców Brick-Lene. Jego prawosć, rozum i dobra wola, rozbrajały niechęć John Bull'a wywołaną jego leotyyczną powierzchownością. Ogólnem było przekonanie, że dr. Meyer Iseacson był szczególnie wybrańcem losu.

Pewnego czerwcowego poranku, doktor powracał ze swego spaceru. Był sam. Kofi jego, wygalopowawszy się w parku, szedł spokojnie, wciągając łagodne powietrze do rozdętych chrap. Zanosilo się na upał i doktora ogarnęło uczucie lenistwa, co przywiodło mu na myśl oczekującą go pracę. Za kilka minut będzie na Cleveland Square i po kąpieli, filiżance kawy i przeczytaniu dzienników, zacznie się defilada chorych. Westchnął i wstrzymał konia, nie chciało mu się iść na przeciw tej defilady. A jednak procesja ta wnosila zainteresowanie w jego życie. Na ogół był człowiekiem czynnym, nie potrzebował zmuszać się do zapału, czuł go rzeczywiście. Miał namiętność do badania i zawód jego dawał mu szerokie do tego pole. Lubił siedzieć sam na sam z pacjentem w swym spokojnym gabinecie i wyszukiwać nici, łączących stronę fizyczną z moralną, wpływ duszy na ciało i ciała na duszę. Ale dzisiaj czuł odrazę do pracy. Głęboko w jego czynnej naturze tkwiło ukryte coś, co tęskniło do słońca, do długich marzeń, zdając wszystkie wypadki pogodnie, a może tylko obojętnie w ręce Opatrzności.

— Zrobię sobie któregoś dnia wakacje – rzekł do siebie – długie wakacje. Wyjadę daleko stąd, do kraju, w którymbym się czuł u siebie i gdzie jest moje właściwe miejsce.

Myśląc tak, podniósł oczy i wzrok jego padł na Pałac Królewski, koło którego przejeżdżał, na otaczające go szlachety, żołnierzy strzegących wejścia i ich jasne, spokojne, brytyjskie oczy.

— Gdzie jest moje właściwe miejsce – powtórzył.

Uśmiechnął się. Czy rzeczywiście zapragnął nieczynnego, leniwego życia?

Nagle, usposobienie jego się zmieniło. Zaczęło mu się czegoś tragicznego, czegoś strasznego, nawet okropnego, wypadków niezwykłych, które odosabiają człowieka w nie zakłanego od reszty ludzi.

Niezwykle piękna pogoda obudziła w nim cudzoziemski pierwiastek. Londyn wydał mu się nic nieznaczącym miastem, w którym taki człowiek jak on, nie może ani marzyć, ani czynić z całą beztroskliwością albo energią, do których był zdolnym.

I jak nieraz inteligentne dzieci to czynią, wyobrażał sobie daleką okolicę, nad którą romantyczność rozpościera swe połyskliwe skrzydła, gdzie mógłby zużytkować utajone siły swej duszy, siły, których wyjawienia dałoby mu pełnię życia, w najwyższym ich napięciu. Scisnął konia kolanami, szlachetne zwierzę zrozumiało wolę swego pana i przeszło w klusa. Przejechał wzdłuż ogrodu Stafford House i za chwilę dr. Iseacson stanął przed bramą swojego domu.

— Za dwadzieścia minut przynieś mi książkę wraz kawą – rzekł, wchodząc do służącego. — W pół godziny później siedział w saloniku na fotelu, popijając kawę, dzienniki leżały obok,

a na kolanach trzymał otwartą książkę, w której były wpisane nazwiska osób, mających tego dnia być u niego.

Przypatrywał się, szukając między nimi takiego, któreby go zainteresowało. Pierwszym pacjentem był jeden pan, który miał do niego wstąpić, idąc do City. Następowały nazwiska trzech pań, potem jednego chłopca z zaniepokojoną matką, doktor posiadał sporą paczkę listów w biurku. To była przedpołudniowa praca. Odwrócił stronę i spojrzał na popołudniowe goziny. „Druga, Mns. Lesneur; pół do trzeciej, Miss Mudish; trzecia, dziekan z Greynstone; pół do czwartej, lady Carle; czwarta, M. de Lye; pół do piątej, Mrs. Harringby; piąta, Sir Henry Grebe; pół do szóstej, Mrs. Chepstow”, to było nazwisko ostatniej pacjentki.

Dzienna praca dra Iseacsona kończyła się, a właściwie powinna się była kończyć o szóstej; nieraz jednak poświęcał swym pacjentom więcej niż po pół godziny, co opóźniało jego zajęcie, ale nie przyjmował już nikogo po chorym, który był zapisany na godzinę w pół do szóstej.

I tak Mrs. Chepstow była ostatnią, którą miał dzisiaj przyjąć. Siedział z otwartą książką, wpatrując się w jej nazwisko. Było to nazwisko dobrze mu znane, dobrze znane całemu angielskiemu towarzystwu.

Mrs. Chepstow była wielką pięknoscią już na schyłku; dnie jej sławy długo trwały, teraz jednak zdawało się, że się już kończą. Miała przeszło czterdzieści lat, lecz przyznawała się tylko do trzydziestu ośmiu. Powiadała niekiedy, że dobroć utrzymuje młodość. Mrs. Chepstow używała rozmaitych środków, ale tego zaniechała. Kroku pomiędzy estetyzmem a ascetyzmem nie zrobiła nigdy, pomimo, że uczyniła ich dużo, nieszczęście, nawet fałszywych. Była córką arystokratycznych lecz niezamożnych i dziwnych rodziców; ojciec jej sir Edward Page, syn lorda Cheam, był dobrze znany w Bankrupts Court, a matka odznaczała się również lekkomyślnością co do pieniędzy, mówiąc, że są na to, żeby je wydawać, a nie chować. Trzymała się tej zasady tak ściśle, że w końcu sir Edward ogłosił w dziennikach, że nie będzie płacił długów swej żony; co prawda było to już wtedy, kiedy oddawna nie mógł płacić swych własnych, znajdował jednak, że jego godność tego wymaga.

Być może, że materialne kłopoty jej rodziców, wpłynęły na życie Mrs. Chepstow. Już za młodu obawiała się ubóstwa, zanim doszła do dwudziestego roku życia, wiedziała z własnego dwukrotnego doświadczenia, co to znaczy „być wyprzedanym”, wołała zatem drugą alternatywę „sprzedać się samej”, i mając dwadzieścia jeden lat, wyszła za męża, za Mr. Chepstow, bogatego piwowara, dla którego nie miała nawet sympatii, i, jako Ms. Chepstow zyskała w towarzystwie londyńskim opinię „piękności”. Przeważała ją Bella Donna, fotografowano, rozpisywano się o niej, uwielbiano, i sława jej sięgała tak daleko, jak tylko sława beczynnej, pięknej kobiety w naszych czasach sięgać może.

Została wreszcie bohaterką głośnego, rozwodowego procesu.

Mr. Chepstow, niepomny, że pomiędzy przymiotami nowoczesnego męża pierwsze miejsce zajmuje zamykanie oczu na postępowanie pięknej i ogólnie podziwianej żony, wyciągnął je na jaw i zrujnował jej opinię. Przysądzone mu znaczne odszkodowanie od bardzo znanego człowieka, którego żona zażądała naturalnie zaraz rozwodu. I Mrs. Chepstow została z towarzystwa usunięta. Wtedy zaczął się nowy okres w jej życiu, okres zupełnie niepodobny do poprzednich.

Miała dopiero dwadzieścia sześć lat i była u zenitu swej piękności. Przypuszczano, że człowiek, dla którego poświęciła swą dobrą sławę, ożeni się z nią zaraz, po otrzymaniu rozwodu, nieszczęście, umarł przed zapadnięciem ostatecznego wyroku. Przyszłość Mrs. Chepstow dostała się w ręce Fatum; a ono spuściło palec w dół. Powszechnie znana – teraz w złym świetle piękna i młoda, musiała sama sterować łodzią swego życia i wtedy, wyszedł na jaw w jej charakterze rys, który pięknym nie był; okazała zamilowanie do pieniędzy, namiętne upodobanie w materialnych rzeczach.

(Ciąg dalszy nastąpi).